

Czym jest wolna kultura?

12 sierpnia 2014

Data publikacji: 20.05.2009

„Technologia dała nam nowe obszary wolności. Niektórzy powoli zaczynają rozumieć, że wolność ta nie oznacza anarchii. Możemy wnieść wolną kulturę w XXI wiek bez strat dla artystów i bez niszczenia potencjału technologii cyfrowej. (...) Zdrowy rozsądek musi się zbuntować. Musi służyć wolnej kulturze. Jeśli te możliwości mają kiedykolwiek być zrealizowane, to musi się to stać już niedługo.” (Lawrence Lessig)

Ostatnio coraz częściej można się spotkać w Internecie z terminem „wolna kultura”. Najczęściej w bardzo pozytywnym kontekście wolności, legalnej wymiany dobrami kultury w formacie cyfrowym, prostocie tworzenia innowacji, sprzeciwianiu się technologiom ograniczającym użytkownika, konsumenta czy też odbiorcę. Czasem można też usłyszeć, że wolna kultura to kultura piractwa. Kultura promująca zwykłą kradzież czyjejś twórczości, chociażby przy pomocy sieci peer-to-peer, narażając tym samym artystę na poważne straty finansowe (a przecież samym powietrzem jeszcze nikt nie wyżył). Informacje na temat wolnej kultury można znaleźć na blogach, wortalach określających siebie jako poważne, w dyskusjach toczonych na dziesiątkach (setkach nawet) forach internetowych i w komentarzach pod artykułami lub niusami. W ten sposób prawdziwa definicja wolnej kultury zatraciła się pośród mitów powstałych na jej temat, a bardzo ważne tezy głoszone przez jej zwolenników zostały zniekształcone.

WOLNA KULTURA? Z CZYM TO SIĘ JE?

Przed rozpoczęciem wywodu na temat tego, czym wolna kultura jest i o co walczy warto odpowiedzieć na pytania zupełnie przeciwne: czym wolna kultura nie jest i z czym walczyć nie ma zamiaru? Wolna kultura nie jest kulturą piracką. Jej

zwolennicy nie namawiają nikogo do napadania na statki. Nie zachęcają też do łamania praw autorskich. Nie pragną ich zniesienia. Działacze tego ruchu nie są ludźmi, którym brak jest szacunku dla pracy włożonej przez artystów w tworzenie ich dzieł.

Zwolennicy wolnej kultury przede wszystkim nie są przestępcami. Wręcz przeciwnie. Lawrence Lessig, autor książki „Wolna Kultura. W jaki sposób wielkie media wykorzystują technologię i prawo, aby blokować kulturę i kontrolować kreatywność”, której wydanie bezpośrednio doprowadziło do zdefiniowania, istniejącego już przecież, ale mniej formalnie, ruchu opisywanego w tym artykule, termin „wolna kultura” tłumaczył w taki oto sposób:

„Chodzi tu o „wolność” w takim znaczeniu, jak w zwrotach: wolność słowa, wolny rynek, wolny handel, wolność gospodarcza, wolna wola czy wolne wybory. Wolna kultura wspiera i chroni twórców oraz wynalazców. Dzieje się to w sposób bezpośredni (przez udzielanie praw własności intelektualnej), ale także w sposób pośredni: przez ograniczanie zasięgu tych praw tak, aby kolejnym twórcom i wynalazcom zagwarantować możliwie największą wolność od kontroli przeszłości. Wolna kultura nie jest kulturą bez własności, podobnie jak wolny rynek nie oznacza rynku, na którym wszystko jest wolne od opłat. Przeciwnieństwem wolnej kultury jest „kultura zezwoleń”, w której twórcy mogą tworzyć wyłącznie po uzyskaniu zezwolenia ze strony moźnych lub twórców z przeszłości.”

Rozwijając tę myśl: prawo regulujące dostęp do kultury powinno pozostawiać społeczeństwu jak najwięcej swobody. Można to osiągnąć m.in. poprzez ciągłe dostosowywanie się do możliwości niesionych przez nowe technologie, a nie ograniczanie ich. Takie podejście do problemu praw autorskich prowadzi do wzrostu kreatywności i chęci tworzenia innowacji przez obywateli. Niestety, obecnie prawo konstruowane jest tak, by ułatwić możliwość sprawowania kontroli nad dobrami kultury poprzez zakrojoną na coraz większą skalę redukcję praw

konsumenta.

Chodzi m.in. o ciągle wydłużanie czasu obowiązywania praw autorskich (np. w Unii Europejskiej z obecnych 50 do 70 lat po śmierci autora), wysokie kary za ściąganie plików muzycznych chronionych tymi prawami w Stanach Zjednoczonych, procesy sądowe wytaczane twórcom innowacji mogącym posłużyć łamaniu praw autorskich, czego przykładem jest chociażby zamknięcie Napstera, czy trochę bardziej świeże, orzeczenie wydane przez sąd USA w sprawie Grokstera stwierdzające, że firmy rozwijające oprogramowanie do korzystania z sieci peer-to-peer mogą ponosić odpowiedzialność za naruszanie prawa autorskiego przez ich użytkowników (patrz: Grokster przegrał!, Grokster znika z Sieci i Komentarz do MGM v. Grokster).

Najbardziej kuriozalną z tych przypadków jest chyba sprawa wysokości kary za ściąganie plików muzycznych chronionych prawami autorskimi w USA, gdyż chodzi o zawrotną sumę 150 tys. dolarów za utwór (album składający się z dziesięciu piosenek wedle prawa amerykańskiego wart jest 1,5 miliona dolarów). Dla porównania lekarz, który poprzez własne zaniedbanie usunie pacjentowi niewłaściwą nogę będzie odpowiadał za moralne i fizyczne straty w wysokości do 250 tysięcy dolarów.

Nie koniec na tym. Jako że wolna kultura wcale nie jest niczym nowym, gdyż wywodzi się ona bezpośrednio z naszej tradycji, łatwo jest wskazać kolejne wynalazki, które, gdyby wykorzystano ich możliwości w pełni, mogły jeszcze korzystniej, niż to miało miejsce, wpłynąć na wymianę dobrami kultury. Tymczasem jesteśmy świadkami wprowadzania najbardziej restrykcyjnych ograniczeń, bo choć proces ten rozpoczął się około XVIII wieku wraz z walką brytyjskich wydawców książek o wieczyste prawa autorskie, szczyt jego eskalacji ma miejsce tu i teraz, w czasach epoki cyfrowej, w świecie Internetu. Wszak ludzie czasów przedcyfrowych bez żadnych obaw śpiewali znajomym piosenki, których nie skomponowali, czytali im fragmenty książek (a nawet pożyczali czy kserowali), których nie napisali i przekazywali dalej zasłyszane historie, których

nie wymyślili. Porównując to do sytuacji obecnej, kiedy to wysłanie znajomemu pliku muzycznego z nagraniem wzruszającej cię piosenki, wartościowej książki w formacie elektronicznym, czy użycie cudzej licencjonowanej opowieści w tworzeniu swego dzieła może być przyczyną kłopotów prawnych, widać bardzo wyraźnie ogrom zmian, jakie zaszły w ciągu ostatnich lat.

Oczywistym jest, że nawet obecne prawo rozpoznaje sytuacje, w których dostęp do dóbr kultury powinien być łatwiejszy. Przypadki te definiuje utworzona w tym celu instytucja dozwolonego użytku, która w zamierzeniu reguluje i legalizuje, w przypadkach dopuszczonych przez te regulacje, wymienianie się sztuką. (1, 2). Niestety, prawo to jest zapisane w taki sposób, że bardzo trudno jest je jednoznacznie zinterpretować, choć w wersji "made in the USA" sytuacja prezentuje się jeszcze gorzej. Lessig w ten sposób komentował zasadę dozwolonego użytku obowiązującą w Stanach Zjednoczonych:

„W Ameryce dozwolony użytek to jednak nic innego niż prawo do wynajęcia prawnika, który będzie bronił twoich praw do tworzenia (...). Sędziowie i prawnicy mogą łudzić się, że zasada dozwolonego użytku stwarza swobodną przestrzeń między tym, co prawo reguluje a tym, na co zezwala (...). Regulacje wymuszane przez wydawców na pisarzach, przez dystrybutorów na filmowcach, czy przez wydawnictwa na dziennikarzach, są prawdziwymi prawami rządzącymi dziś twórczością.”

NEUTRALNOŚĆ TECHNOLOGII Ważną tezą głoszoną przez zwolenników wolnej kultury jest neutralność technologii. To, że sieci P2P umożliwiają nielegalną wymianę treści, nie znaczy wcale, że są one rozwiązaniem szkodliwym i powinny zostać zdelegalizowane. Posługując się ekstremalnym argumentem: gdybyśmy chcieli w ten sposób patrzeć na innowacje, musielibyśmy zakazać korzystania z Internetu, bo on też (a może przede wszystkim) ułatwia wykonanie czynności niezgodnych z prawem.

Chociaż próby całkowitej delegalizacji niektórych technologii miały miejsce, nigdy nie były one skuteczne. Przykładem niech

będzie sprzeciw wobec magnetowidów (zobacz rozdział “Piractwo II” w książce Lessiga) czy też zahamowanie rozwoju technologii radia FM (patrz Wprowadzenie do książki Lessiga).

Technologia jest zawsze neutralna i można jedynie zdelegalizować szkodliwe jej wykorzystanie, a nie technologię jako całość.

Niestety wszystkie wyżej wymienione argumenty nie przemawiają do oponentów ruchu Wolnej Kultury. Twierdzą oni, że prawa autorskie wciąż są zbyt liberalne wobec czego starają się wprowadzać coraz to nowe ograniczenia. Póki adversarzami pozostają korporacje stworzone w jednym konkretnym celu – zarabiania pieniędzy – wszystko wydaje się być zrozumiałe i jasne, jednak przyjmowanie takiego stanowiska przez odbiorców kultury jest co najmniej zadziwiające.

Trudno zrozumieć, że osoby będące odbiorcami dóbr kultury w formacie cyfrowym uważają za potencjalnych przestępców użytkowników technologii cyfrowych, czyli tak naprawdę siebie samych. Wspierają tym samym korporacyjnych oponentów Wolnej Kultury w próbach odbierania kolejnych skrawków wolności dostępu do oferowanych przez nich produktów. Ci ostatni tworzą w tym celu nowe technologie takie jak DRM i prawa, takie jak DMCA (regulująca, a właściwie zapewniająca brak jakichkolwiek regulacji w sprawie DRM, ustawa obowiązująca w USA).

W skrócie sytuacja wygląda tak: DRM umożliwia wydawcy poprzez wprowadzenie programowych lub też sprzętowych ograniczeń, kontrolowanie sposobów wykorzystywania jego dzieła. Dzięki tej technologii może on np. uznać, że dany dokument wolno otworzyć pięć razy, raz wydrukować i czterokrotnie skopiować (plik stanie się wtedy bezużyteczny), co można porównać do książki, której strony zlepią się uniemożliwiając jej czytanie po pięciokrotnym przeczytaniu i czterokrotnym pożyczeniu znajomemu. I chociaż wydawcy zaczęli czuć się bezpiecznie dzięki uzyskaniu, wydawałoby się, pełnej kontroli nad swoimi produktami, szybko powrócili do ofensywy, gdyż zabezpieczenia przez nich wprowadzone zaczęły być masowo łamane. Fakt ten

popchnął koncerny wydawnicze do lobbowania w sprawie ustawy DMCA, zabraniającej omijania ich ograniczeń.

DRM wydaje się być czymś złym, lecz tak naprawdę zły jest jedynie sposób jego użycia. Istnieją sytuacje, w których wykorzystanie tej technologii byłoby korzystne, widać to na przykładzie wycieku części matematyczno-przyrodniczej tegorocznego testu gimnazjalnego – gdyby arkusz egzaminacyjny był rozsyłany do szkół w postaci zabezpieczonego inteligentnym DRM-em pliku, otwierającego się tylko i wyłącznie po połączeniu się z serwerem CKE w celu stwierdzeniu poprawności daty (np. dwie godziny przed czasem rozpoczęcia egzaminu) i pozwalającego na przejrzanie jego treści i wydrukowanie dopiero w wypadku spełnienia powyższych warunków, wspomniana sytuacja nie mogłaby zaistnieć. Innym rozwiązaniem byłoby zastosowanie klucza do pliku, który znany byłby tylko CKE, a podawany szkołom bezpośrednio przed sprawdzianem.

Przykład ten pokazuje, że problemem nie jest sama technologia, a co najwyżej próby jej wdrożenia, niepodlegające żadnym regulacjom, będące chronionymi przed złamaniem przy pomocy niebezpiecznej ustawy. Co prawda na razie obowiązuje ona tylko w USA, lecz inne kraje także rozważały możliwość jej wdrożenia. Powoduje to, że sama nasuwa się myśl: „wcale nie jesteśmy bezpieczni”.

WOLNA KULTURA JAKO FILTR SZTUKI Jedną z kolejnych zalet wolnej kultury jest też sposób, w jaki oddziałuje ona na sztukę. Jej specyfika pozwala zdefiniować ją jako kulturę bezlitosną, jako swoisty filtr dzieł artystycznych, ponieważ redukcja niepotrzebnych regulacji dotyczących dostępu do prawdziwej sztuki zdecydowanie ułatwia dzielenie się dziełami wartościowymi, co prowadzi do powstania bardziej świadomego i kreatywnego społeczeństwa.

Licencje Creative Commons, czyli licencje propagujące system praw autorskich określanych przez hasło „pewne prawa zastrzeżone”, ułatwia artystom licencjonowanie swoich utworów

w taki sposób, by odbiorca miał do nich jak najwięcej praw, przy braku zrzeczenia się pełnej puli praw autorskich przez artystę. Upraszczając: licencje te umożliwiają autorowi zrzeczenie się jedynie pewnych praw do swojego dzieła. Przed powstaniem tego zestawu licencji, artysta stawał przed wyborem "wszystko albo nic", czyli oferowano mu albo pełną pulę praw do utworu, albo ich całkowity brak. Bardzo ważne jest też, że Creative Commons oferuje kilka licencji różniących się między sobą, co pozwala artyście na wybranie tej najbardziej mu odpowiadającej. Znaczące, że pomimo różnic między oferowanymi licencjami wszystkie mają jedną wspólną cechę: dzieło objęte którąś z tych licencji można bez ograniczeń kopiować, rozpowszechniać, odtwarzać i wykonywać, pamiętając jednak o uznaniu autorstwa.

I CO DALEJ?

Wolna kultura jest kulturą obywatelską. Uważamy, że tylko dzięki aktywnej działalności społecznej jesteśmy w stanie oprzeć się niekorzystnym zmianom, jakim poddawana jest nasza kultura. Dlatego zachęcam do zapoznania się z innymi materiałami dotyczącymi wolnej kultury, dostępnymi na stronie Wolna Kultura, należącej do Grupy JakiLinux, przeczytania FAQ Wolnej Kultury i książki Lawrence'a Lessiga, amerykańskiego konstytucjonalisty i profesora prawa, "Wolna Kultura. W jaki sposób wielkie media wykorzystują technologię i prawo, aby blokować kulturę i kontrolować kreatywność".

Rzeczywistość ma to do siebie, że podlega zmianom. Nie pozwólmy, by polegały one na ograniczaniu kultury!

Autor: darcnet

Źródło: [Dziennikarstwo Obywatelskie](#)

Na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 2.5 Polska